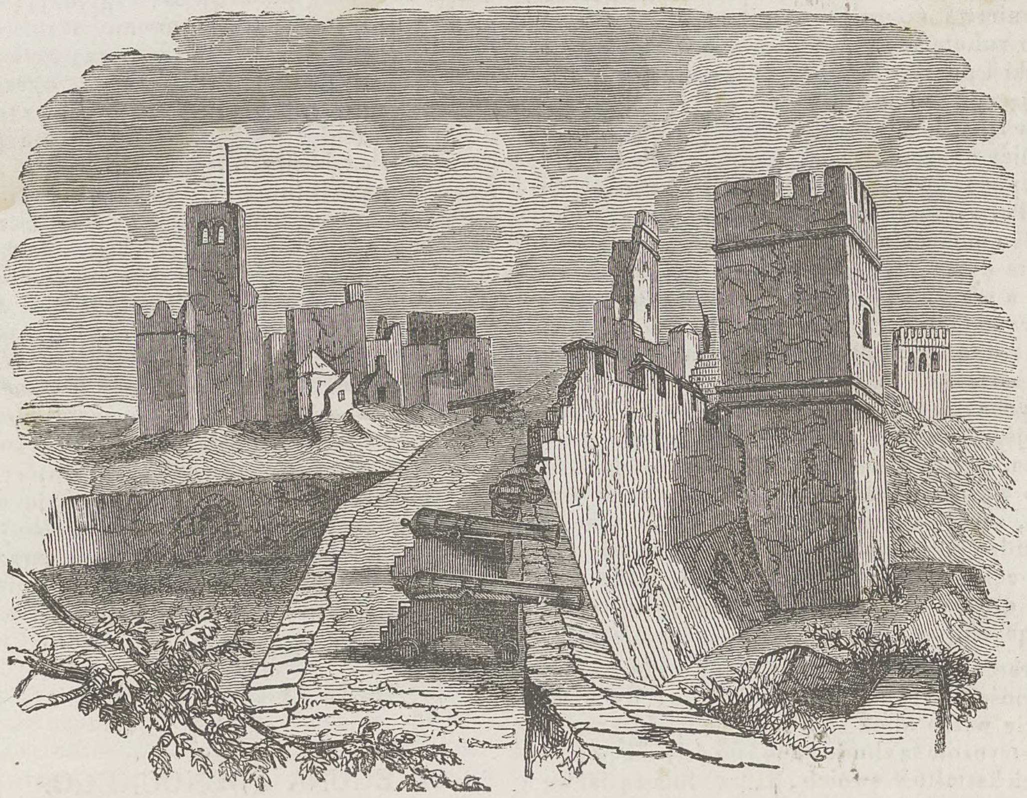
ZAMEK W BADAJOZ.



BADAJOZ.

Na pograniczu Portugalii, po lewéj stronie Gwadyany, leży miasto Badajoz, warowna stolica Estremadury. Na rzece wznosi się prześliczny most kamienny, jeszcze od Rzymian, jak powiadają, zbudowany, składający się z 22 arkad. Warownia ta w czasie wojny francuzkiéj trzykrotnie była przez Anglików oblegana; piérwsze dwa oblężenia w r. 1811 spełzły na niczém, i dopiéro za trzeciém, po zaciętym szturmie, zdobył ją Wellington dnia 7 kwietnia 1812 roku. Wyłom, którym weszli żołnierze angielscy, dotąd jeszcze poznać się daje po odmiennéj barwie kamienia, jakiego do zapełnienia go używano. Rysunek tu przyłączony, przedstawia widok zamku od téj właśnie strony, którą anglicy pod wodzą generała Picton'a do niego weszli; dzisiaj stérczą tylko jego zwaliska, tworzące smutny obraz zniszczenia. Wiele lat już upłynęło od chwili, w któréj gromy dział upokorzyły dumę téj warowni, a jednakże jak mało postać się jéj zmieniła! Żaden prawie kamień z niéj nie ubył, i żaden nowy miejsca po dawnym nie zajął; zniszczone wieże maurytańskie wznoszą się jak wprzódy, kamienne wały jak przedtém w zwaliskach leżą.

Badajoz położone jest na wzgórzu znacznie się nad płaszczyzną wznoszącém, które nader stromo przy zamku się kończy. Wzgórze to, zamyka pasmo gór Toledańskich, od których przedzielone jest ciemnemi nurtami Gwadyany, mury miasta okrążającéj. Jeżeli jednak wyniosłości, na któréj to miasto leży, za koniec Toledańskiego pasma uważać się niezgodzimy, to właściwiéj twierdzę St. Christobal zwaną, położoną na stronie portugalskiéj, i nad miastem panującą, słusznie ostatnią Toledańską górą nazwać możemy. Badajoz ze trzech stron otoczone jest nader rozległą równiną, z czwartéj zaś strony zamyka je Gwadyana. Niegdyś ową równinę zdobiły winnice, lasy oliwne i piękne domy dostatnich mieszkańców; dzisiaj zaś jest ona rozległą i smutną pustynią. Niszczący oddech wojny zatruł żyzność ziemi,

motyka w miecz się zamieniła, lemiesz przerobiono na spisę.

Most Badajozu jest pięknym zabytkiem budownictwa rzymskiego, dokładna i trwała jego robota najlepiéj dowodzi doskonałości sztuki i pożyteczności pomysłów tego zadziwiającego ludu, który pod wielą względami na wdzięczność potomnych zasługuje. Szczególniéj odznaczają się w nim, koniec opoki przypierający i prześliczne wieże Puerty de los Palmas, od strony miasta położonéj. Na środku mostu wodotrysk roztrącając się w wodniste dymy, orzeźwia skwary gorącego nieba; a prześliczne widoki, na wszystkie z tąd odkrywające się strony, robią zeń najulubieńsze miejsce przechadzki dla mieszkańców miasta. Letnią porą rzeka tak dalece wysycha, iż we wszystkich prawie miejscach przejść ją można; lecz w zimie mocno wezbrana, w gwałtowny zamienia się potok, którego wody, wypełniwszy całkowicie jéj koryto, z niepowściągnioną biegą chyżością. O żegludze na téj rzece i pomyśleć się nie godzi, zaledwie widzieć tu można kilka małych czółen do przejażdżki lub rybołostwa służących.

Brama, palmową zwana, z powodu swojéj piękności na wzmiankę zasługuje; dwie okrągłe wieże obok siebie stojące, doskonale symetrycznie są zbudowane, i do dziwnie poważnych kształtów swoich, łączą złocistą barwę starożytności, jaką jasne i roskoszne niebo klimatu południowego, białemu marmurowi z wiekiem nadaje; z tego przeto względu wieże te, z prześlicznego marmuru zbudowane, i misternością kształtów swoich i pięknością koloru, przyjemnie oko zachwycić mogą. Brama ta również od Rzymian wzniesiona, była odnowioną za Filipa II, w 1551 roku, jak to poświadcza napis na niéj umieszczony, i od tego czasu najmniéjszéj zmiany już nie doznała; most zaś, do którego ona prowadzi, późniéj był odnawiany, i innym kamieniem wyłożony został. Wnętrze miasta nie zawiéra w sobie nic osobliwszego, zaleca się jednak szczególniéjszą czystością i ochędóstwem, pomimo to, iż domy jego nie mają na sobie tynku, którym w Portugalii zwykle wszelkie budowy odziewają, w celu nadania im porządniéjszéj powierzchowności. Domy powiększéj części są obszerne i wygodne; gospoda dla *czterech narodów*, nazwana, jest przepyszna; podróżny przybywszy do Badajoz, przyjemnie zdziwiony zostaje, znajdując w niém tak świetny hotel, zwłaszcza, jeżeli zwiedzał Portugalją, gdzie w nędznych i ubogich karczmach przebywać musiał. Rynek w pobliżu zamku tworzy piękny czworokąt; budowy w około niego położone, nadzwyczaj malowniczo wyglądają; tu i owdzie nad niemi strzela w niebo starożytna wieża, lub opuszczone wznoszą się zwaliska, które rzucone na tło tego obrazu, głąb jego prześlicznie zdobią. Ulica z tego placu do katedry wiodąca, zabudowana jest domami do szlachty tutejszéj należącemi; na końcu jéj, znajduje się Rambla, zwykłe miejsce przechadzki, na którém piękne miasta mieszkanki, wieczornym orzeźwiają się chłodem. Katedra, któréj gotyckie arkady i ciężkie wieże z tego punktu widzieć można, jest budową mającą powierzchowność ubogą i nie piękną; lecz do przyozdobienia jéj wnętrza, wszystkie sztuki nadobne z sobą się zjednoczyły, i przy pomocy ogromnych nakładów, nadały jéj postać przepychu i świetności. Liczne kaplice zdobi kosztowna rzeźba i bogata pozłota; ołtarze odziewają misternéj roboty drogie hafty; w srebrnych świecznikach nieprzerwanie płonie jarzące światło; a ołtarz wielki, jaśnieje całym przepychem i świetnością zachodniego kościoła.

PODROŹ

DO

BIEGUNA PÓŁNOCNEGO.

(Ciąg dalszy.)

ROZDZIAŁ III.

Odjazd.

Okręt, któryśmy kupili, był jednym z tych statków hollenderskich, jakich używają do wypraw na połów wielorybów przedsiębranych; mocno zbudowany i nadewszystko stosowny do żeglugi na tych morzach obfitych w mielizny i podwodne haki. Gruntowną jego budowę wzmocniliśmy jeszcze bardziéj, obijając go dylami dębowemi, mającemi około 3 cali grubości, a to w celu zabezpieczenia go od uderzeń i nacisku lodów, z któremi nieustannie spodziewaliśmy się walczyć w ciągu całéj podróży. Nie zapomnieliśmy także i o wewnętrzném wiązaniu, wzmocniliśmy je, jak można najlepiéj, za pomocą belek i sztab żelaznych.

Kupiliśmy podwójną ilość potrzebnych dla okrętu żelaznych drągów, lin, powrozów i żagli; ostrożność ta była konieczną, mając żeglować w stronach, w których straszliwe burze, nawet w porach roku umiarkowanych, nadzwyczaj często panują.

Szczególniéj jednak zwróciliśmy baczność naszą w przyrządzeniu zapasów żywności. Mięso wołowe i wieprzowina, przyzwoicie nasolone, zamknięto w beczkach, jak można najstaranniéj; wzięliśmy 50 beczek piwa zwyczajnego i zwanego ale, w najlepszym gatunku; albowiem posilny ten dla ludzi napój, najskuteczniéj zdolny jest ich wzmocnić przeciwko srogości klimatu ostrego. Przytém zaopatrzyliśmy się w niemałą ilość win rozmaitych i wyskoku.

Niezaniedbałem także zrobić wielkiego zapasu herbaty i kawy, wiedząc, iż napoje te mają własność podbudzenia w ciele ludzkiém daleko przyzwoitszego stopnia ciepła, a niżeli inne korzenie i spirytusy. Albowiem te ostatnie, takim samym sposobem działają na nerwy, jak ogień na skórę; nadto, skoro czynność ich ustanie, organizacya słabieje i ciało daleko drażliwszém staje się na zimno, aniżeli było przed ich użyciem. Przytém zakupiliśmy dostateczną ilość najwyborniéjszéj mąki, krup owsianych, grochu i ryżu, oraz octu i innych rozmaitych korzennych przypraw, nie zapominając o ogromnéj ilości tytuniu.

Z rozmaitych przedmiotów składających magazyn przypraw naszych, za najużyteczniéjsze uznałem: cukier, herbatę, kawę i kakao; albowiem mróz nadzwyczajny, nader często na rozmaitych częściach ciała, a szczególniéj na ustach tworzy rany, i wtenczas ludzie doznają niewypowiedzianego wstrętu do wszelkich pokarmów na okręcie używanych. Dlatego też, w podobnych razach kawa, herbata, czekolada i napój ze słodu, nieocenionym są zasiłkiem.

Ludzie składający ekwipaż kapitana James, który na wyspie Chaelton w 1632 roku zimował, wszyscy prawie zachorowali, ulegając zranieniu ust tak mocnemu, że nie mogli jeść ani mięsa wołowego, ani wieprzowiny, ani ryby, ani nawet wszelkiéj zupy; każdego poranku, chirurg musiał im obrzynać dzikie mięso, na dziąsłach narastające; i przez czas kilkumiesięczny, żyć musieli chlebem w moździerzu tłuczonym, który w oliwie gotowano.

W odzieży niczegom także nie szczędził; każdy z żeglarzy dostał sześć spencerków; cztery całkowite ubrania flanellowe do noszenia ich na ciele; trzy pary nieprzemakających spodni, cztery pary pończoch wełnianych, parę mocnych butów, dwie wełniane czapki, i szeroką zasłonę futrem podszytą, która przywiązywała się u szyi, i w razie potrzeby, nakrywała całą głowę (wyjąwszy usta i oczy) i znaczną część ramion. Zasłony te miały służyć podczas nadzwyczajnego zimna. Przytém, każdy otrzymał tuzin wełnianych i parę futrzanych rękawic. Kołdry nasze jak można najcieplej były urządzone, hamaki podwójne wełną były wysłane.

Chociaż przyjaciel mój, hanzeatyczny Slapperwack, ze swojéj strony ofiarował 1000 funtów szterlingów na koszta wyprawy (nie licząc w to płacy majtków, którąśmy po połowie na siebie przyjęli) z tém wszystkiém summa ta nie wystarczała nam na wydatki, któreśmy ponieśli na samo tylko zakupienie potrzebnych nam przedmiotów. Nie mając statku mniejszego dla majtków, oprócz jednego batu, musieliśmy jeszcze nabydź inny płaski i gruntownie zbudowany, któryby nam tę samą pełnił posługę. Do tego przyłączyliśmy jeszcze jeden statek według mojego pomysłu zrobiony, który dziesięciu ludzi udźwignąć mogło i jaki, w razie potrzeby, dawał się umieścić na saniach, mogących się ciągnąć po powierzchni lodu za pomocą psów lub ludzi.

Wielkość naszego okrętu była o 400 beczkach, znajdowało się na nim 30 ludzi, i uzbrojony był dwoma działami sześcio-funtowemi. Proch zamknęliśmy starannie w wielu baryłkach miedzianych, które z fabryki Walker'a pochodziły. Przytém opatrzyliśmy się w lekką broń ognistą, rozmaite narzędzia do rybołostwa, jako to: sieci i harpuny, nie przepominając i o innych do kopania ziemi służących; słowem, nabraliśmy wszelkiego rodzaju narzędzi i naczyń, któreśmy za przydatne w rozmaitych wypadkach uznali.

Wodę i napój słodowy umieściliśmy na dnie okrętowém, i żeby sobie zapewnić dostateczną ilość ognia, tak dla ogrzewania się podczas mrozu, jako też suszenia wilgotnych sukni naszych, wszystkie miejsca próżne, które się znajdowały pomiędzy naszemi pakami, wypełniliśmy już to drzewem, już węglem kopalnym, których ciężar razem za balast okrętowy nam służył.

Przypadkowie poznałem się z młodym chirurgiem hollenderskim, zwanym Dawid Saunders, który z wielą nauki wyborny łączył charakter. Zamiar nasz, tak dalece mu się podobał, iż dobrowolnie gorącą chęć towarzyszenia nam objawił. Oświadczenie to z wielką przyjąłem radością, powierzając mu dopełnienie naszéj apteki, tém wszystkiém, cokolwiek tylko za przydatne uznawał. Pomocnikiem kapitana był James Douglas; i

winienem powiedzieć na jego pochwałę, iż w najtrudniéjszych razach: godną tego imienia przytomność umysłu i odwagę okazał. Albowiem, imię to sławne w dziejach najodległéjszych czasów, aż dotąd wyłącznie nosili ludzie ze szczególniéjszéj odwagi słynący. Nadto znajdowało się pomiędzy nami trzech cieśli, kowal i kucharz. Reszta zaś ekwipażu składała się ze Szkotów, Hollendrów i dwóch Duńczyków.

Ponieważ przygotowania nasze trwały przez kilka miesięcy, mogliśmy się więc zaopatrzyć w rozmaite przedmioty podrzędnego użytku. Kupiłem ośm pięknych psów nowo-funlandzkich, dopiéro właśnie sprowadzonych, które były ułożone do ciągnienia sani, a nawykłe żyć rybą tak świeżą jakoteż i soloną. Wzięliśmy wiele baryłek napełnionych tą ostatnią, któraby nam zastąpiła miejsce pierwszéj, gdybyśmy jéj z powodu lodów złowić nie mogli.

Ukończywszy nasze przygotowania, pierwszego dnia Czerwca, powołaliśmy naszych ludzi i podnieśliśmy kotwicę; przy pomocy wód wezbranych pominęliśmy Humber, i wypłynęliśmy na otwarte morze.

Dnia 5 Czerwca przybyliśmy do ujścia rzeki Forth. Mając odprawić czółno do lądu, w celu przywiezienia jeszcze niektórych rzeczy, jakie za potrzebne uznałem, postanowiłem korzystać w innym względzie z podającéj się mi zręczności. Wszystkich ludzi zwołałem na pokład okrętowy, i wystawiłem im szczéry obraz trudności i niebezpieczeństw przedsiębranéj wyprawy; uczyniłem zaś to dla tego, abym na wszelki przypadek odjął im prawo szemrania i robienia mi wyrzutów, iż pomimo woli wciągnąłem ich podejściem, do tak trudnego przedsięwzięcia.

Ponieważ zaś byli to ludzie od siebie tylko zależący; tém bardziéj powinienem był sobie zapewnić posłuszeństwo bezwarunkowe, od którego w razie niebezpieczeństwa, zależało ocalenie nietylko każdego w szczególności, ale owszem całego ekwipażu. Uprzedziłem ich, że co się tycze żeglugi, jedynie kapitan Slapperwack będzie miał prawo rozkazywania, i że ja sam w tym względzie pod jego poddaję się rozkazy; lecz, że w tym wszystkiém cokolwiek tylko ściąga się do kierunku całéj wyprawy, i sposobu jéj prowadzenia, mnie wyłącznie słuchać będą obowiązani. W końcu oświadczyłem gotowość wypłacenia 5 funtów szterlingów każdemu z nich; który dla jakiéjkolwiek bądź przyczyny na ląd powrócić życzy, i wyrzekłem stanowczo, iż zostawując im wolny wybór, przyjęcia téj lub owéj strony, tegoż samego posłuszeństwa wymagać od nich będę, jak gdyby się oni w służbie królewskiéj znajdowali.

Zaledwiem wyrzekł te ostatnie słowa, gdy wszyscy jednomyślnie wykrzyknęli: „Powodzenie naszym rządzcom Braggowi i Slapperwackowi.“ Poczém ponowiono trzykrotnie okrzyki radości, i ochoczo powszechny spełniono toast.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

WINA TOKAJSKIE.

(Dokończenie.)

Winobranie rozpoczyna się nie wcześniéj, jak pod koniec Października, kiedy winorośl już w połowie zwiędnieje. Natenczas w Tokaju nastaje pewien rodzaj uroczystego obchodu. Krajowcy i cudzoziemcy, często ludzie wyższego stanu, posiadacze niektórych winnic na Tokajskich górach, tu się licznie zgromadzają z rozmaitych stron państwa, i zażywają wspólnego wesela, na okazałéj uczcie przyrodzenia. Za prawdę, czas ten jesieni jest w owéj krainie najpiękniéjszą i najweselszą porą roku. Wszędy radośna wrzawa, krzyki, śpiewy, pląsy, biesiady i ognie sztuczne. Szlachta węgierska na schwał występuje ze swą gościnnością, przepychem, i wytwornością życia. Góry winorodne darzą naówczas malowniczém i pełném rozmaitości widowiskiem, niezliczone w poruszeniu tłumy pracowników, z rąk przyrodzenia odbierają drogie dary, młodzieńcy i dziewice w osobliwych strojach, mówiące rozmaitém narzeczem, gromadzą się z powiatów sąsiednich, i śród roboty wywodzą wesołe piosenki, wszystko tu co żywo oddycha weselem i roskoszą. Winobranie atoli odbywa się z niewymówną troskliwością: dojrzałe tylko i pod wyłącznym dozorem, obrywają się grona: po oczyszczeniu zaś ich z jagód zepsutych i niedojrzałych, z wielką bacznością do koszów je kładą. W ślad za 8mią lub 10cią winobrańców, tych co zrywają jagody, każdy w rzędzie wyznaczonym, postępuje dwóch ludzi z cebrem, jeden robotnik odbiéra kosze napełniane gronami, i do cebra je sypie, tenże zwykle jagody gniecie, jednakże nie zupełnie rozciska, zabiegając aby w przenoszeniu nic nie uroniły z właściwego winnego smaku. Beczka, w któréj się potém do szczętu wygniatają winogrona,

ma z jednéj strony otwór powleczony żelazną siatką, kędy sok ścieka do osobnego naczynia, z tąd zaś zlewają go do beczek. Niekiedy winogrona przenoszą się wprost do budynków jedynie wystawionych do tłoczenia jagód. Inaczéj zupełnie się obchodzą z winogronami, które się zowią suche (trockenbeere) po zerwaniu, kładą je do kadzi ze dnem prześwidrowaném; grona własnym ciężarem naciskane, wypuszczają z siebie gęsty, na podobieństwo oleju sok, znany pod nazwiskiem Tokajskiéj essencyi (Tokajer Essenz), gdy się ta ustoi, bez dalszego już przyrządzenia ją zachowują, i tak pozostaje zawsze gęstą i oleistą. Skoro tylko sok przestaje sączyć się z kadzi, wtedy jagody przekładają do innego naczynia, nalewają je sokiem ze zwyczajnych Tokajskich winogron, tłoczą, i takim sposobem robią drugi gatunek Tokajskiego wina (Ausbruch), kiedy je zleją, jeszcze potém na też jagody nalewają soku, i rękami wyciskają z nich ostatnie szczątki wyskokowe, i to jest trzeci gatunek wina, który zowiemy Maślacz, niéma on ani mocy, ani aromatycznéj woni, ani smaku balsamicznego, jaki się w piérwszych dwóch gatunkach znajduje.

Młode wina Tokajskie wpadają w kolor cynamonowy, i mają właściwy sobie zapach. W Węgrzech za najlepsze się poczytuje prawdziwe wino Tokajskie, po niém idzie Tarczalskie z Szarwaskiéj góry. Wino Zomborskie ma tam pierwszeństwo co do mocy, Sadanierskie i Szegierskie, co do słodyczy, Tolcswerskie i Benierskie zaś co do przymiotu, iż się długo bez zepsucia zachowywać mogą. Góry Tokajskie wydają rocznie około 180,000 ejmerów Presb. które są cokolwiek mniéjsze od Austryackich, a w których się zawiéra 36 miar wiedeńskich (Maas). Okrom win starych, na inne oznaczyć nie podobna pewnéj ceny, w ostatnich leciech, kiedy winnice obfitszy plon wydawały, ejmer dobréj 10cio i 20sto letniéj essencyi Tokajskiéj, płacił się od 70 do 100 czerwonych złotych, Tokajskiego wina Ausbruch, od 45 do 65 czerwon. zł.; a trzeciego gatunku (Maślacz) od 20 do 35 czer. zł. To dać może wyobrażenie jak są cenne wina Tokajskie w ogólności. Drogość ta wynika nie tyle z rzadkości wina Tokajskiego, ile z nader wielkiego wywozu tegoż do Galicyi, Rossyi i Polski. Cena wysoka nastręczyła handlarzom niższego rzędu, myśl niegodną podrabiania win na podobieństwo Tokajskich, jakoż mieli z tąd znaczny zarobek. Osobliwie w znakomitéj ilości, przyrządzają je na sposób 2go gatunku, (Ausbruch), mieszając doń wódkę z pachnącym syropem; takową zaprawą snadnie oszukać można, mniéj świadomego, atoli ta zawsze jest zdrowiu szkodliwa. Prawdziwe wino Tokajskie poznasz po czystym, złotym kolorze, słodkiéj, aromatycznéj woni, wytwornym smaku, po jakiéjś ognistéj własności, która ciepło i pewien rodzaj roskoszy po całém ciele rozlewa i szybko upaja, atoli nie czyni żadnéj ociężałości, nawet, jeśli kto w piciu przebierze miarę; krążenie krwi jedno przyśpiesza, ale nigdy bolu głowy nie sprawia. Prawdziwe wino Tokajskie, nader nie prędko się psuje, własność różna od téj jaką ma wino podrabiane, nawet w zaczętéj butelce, jeśli się ją dobrze zakorkuje, smołą obleje i w suchéj piwnicy postawi, wino w ciągu lat kilku, ani odrobiny nie straci ze swéj woni, koloru i smaku. (*Ausland.*)

PIOTR GODARD,

Rytownik rysunków na drzewie.

Niedawnemi czasy, zakończył życie artysta, który wydobył z zaniedbania, i do pewnego stopnia doskonałości przywiódł we Francyi, rytowanie na drzewie. Zgon tego mistrza, nie może być obojętnym dla miłośników sztuk nadobnych. Poświęcić tu słów kilka jego pamięci, za rzecz słuszną sądzimy.

Piotr Godard urodził się w Alençonie, dnia 21 stycznia 1768 roku, z niedostatnich rodziców. Ojciec jego robotnik drukarski, i razem introligator, napotykając w drukarni, kędy pracował, nędzne na drzewie rzezane ryciny, powziął zamysł je naśladować. Niedostatek potrzebnych ku temu narzędzi, nie odwiódł go wcale od przedsięwzięcia, a po mozolnych i długich w tym zawodzie doświadczeniach, dopiął swego zamiaru. Niektóre obrazki do dziejów Alençonu przez Odolent-Desnos, są jego roboty: atoli zgoła mu na znajomości rysunku zbywało. W Alençonie wówczas nie było nauczycieli rysunków; młody więc Godard był zniewolony sam dochodzić zasad i prawideł, które mu się późniéj tak szczęśliwie przygodziły. Wychowanie jakie od swych rodziców odebrał, było nader mierne, ci bowiem całe niemal swe mienie łożyli, na nauki starszego syna, którego przeznaczyli do duchownego stanu. Godard znaglony pracować we dnie około

oprawy książek, na opędzenie potrzeb domowych; całe nocy trawił, na nauce rysunku, rytownictwa, i dociekaniu wiadomości mających z niemi związek; na pokrycie zaś wydatków, jakich wymagały, acz w pewnym obrębie jego nauki, robił obrazki do klasztorów w Alençonie. Tymczasem zaszły ważne we Francyi wypadki: z tąd odmieniono wszystkie znaki, wszystkie godła władzy i urzędów krajowych: ta okoliczność, młodemu rytownikowi otworzyła zyskowniéjszy zawód; z kolei atoli wojna oderwała go od cichych jego zatrudnień. Jako ochotnik zaciągnął się ze swym bratem do wojska roku 1792, oddział zaś do którego wstąpił, był wysłany do Wandei.

W bitwie pod Machecoul, Godard dostał się w niewolą, i wysłany został do Nantes, dziwném a szczęśliwém dlań samego tylko zdarzeniem, kiedy brańców ograbiano; nie wzięto mu tłomoczka, w którym się zawierał rzetelny skarb jego, to jest narzędzia i książki naukowe: owoż mógł jeszcze oddać się pracy, i zarobkiem zaspakajać swoje i brata, potrzeby życia.

Jeniec artysta, wkrótce dał się poznać drukarzom w Nantes: choroby, które zwykle się lęgą z klęsk wojny; dosięgły go w więzieniu, gdzie wszystkie swe chwile trawił przy robocie. Za przyczyną znakomitszych niewiast owego miasta, wypuszczano jeńców z niezdrowych więzień; wtenczas właśnie kiedy życie Godarda już było nieochybną zagrożone zgubą. Owoż uwolniony Godard znalazł ludzkie przyjęcie w domu Mellineta, który ze stosunków z niejakim Malassis w Alençonie, znał już pierwiastkowe jego rytownicze roboty. Wiedziony chęcią ujrzenia swéj rodziny, wrócił do Alençonu, tam się ożenił, a po kilku leciech założył księgarnią i warsztat introligatorski. Sród przemysłowych zatrudnień, znajdował czas jeszcze, który gwoli sztuce ulubionéj poświęcał: jakoż wyrzezał niesłychane mnóstwo rycin wszelkiego rodzaju i treści: liczba przygotowanych wzorów do rytowania, które sam skreślił i które są niemal wszystkie jego pomysłu, do ośmiu tysięcy sięga: są one we dwóch dużych księgach zebrane. Ci, co bliżéj go znali, nie zadziwią się bynajmniéj nad tak ogromnym plonem jego pracy: nigdy bowiem ani jednéj chwili nie strwonił naprózno. Jeżeli jego rysunkom zbywa niekiedy na poprawności i pewnym powabie; z tém wszystkiém osobliwość ich układu i rozmaitość, znakomicie je zalecają. Powiodło mu się zgromadzić w Alençonie, nawet liczny zbiór starożytnych i nowszych rycin: z tego to źródła czerpał on ciągle, niepowtarzając się wszakże nigdy, w swych dziełach. Zostawił po sobie wiele ksiąg o nauce rysunku piórem, rodzaj, który wielce miłował, i trzy księgi o nauce perspektywy, z dokładnemi wzorami.

Główniéjsze jego płody rytownicze, są następujące: wszystkie osoby w bajkach La Fontaina wydanych w Alençonie r. IX, toż w inném wydaniu w Cambrai, i we dwóch wydaniach Bajek Ezopa, poczet zwierząt do dzieł Buffona wielokrotnie przedrukowanych, zbiór wzorów do nauki położniczéj, wydanéj w Paryżu pod okiem Chaussiera, wszystkie gry kart historycznych, przez P. de Jouy w Paryżu, Telemak wydany w Cambrai: ciąg rycin w wielu powtórzeniach, wystawujący mękę pańską i sprawy z dziejów świętych: wiele kart geograficznych zalecających się pięknością napisów: szereg wielokrotnie powtórzony, królów francuzkich, wedle wizerunków rzetelnych co do podobieństwa: nakoniec, upięknienia noworoczników, abecadlników, i książek do nabożeństwa. Godard imał się wszelakich rodzajów rytownictwa, i wszędy ze znamienitém powodzeniem. W najpośledniéjszych nawet utworach jego, znać zawsze śmiałą i biegłą rękę mistrza.

Pod koniec swego żywota, jął się był litografii; pomiędzy jego próbami w tym rodzaju, znajdują się widoki, nadwerężonych ręką czasu pomników, w Alençonie, a nadewszystko widok tamtéjszego przedsionka u kościoła N. Panny Maryi, jest rzetelnie dziełem cierpliwości, i dokładności niepospolitéj. On też dostarczył rysunków ze starożytnego zamku księcia Alençonu; które na jaw są wydane w atlasie towarzystwa starożytności Normandzkich r. 1835.

Od niejakiego czasu, wiek i wlekące się za nim dolegliwości, zniewoliły go do zaniechania rytownictwa i przemysłu; zebrawszy mierny mająteczek, usunął się do Saint-Denis-sur-Sarthon, o trzy mile od Alençonu, i tam dnia 22 lipca 1838 roku, życie zakończył.

Jego syn Godard, jest z rzędu pierwszych teraz we Francyi rytowników na drzewie: rylec jego śmiały i bujny. Mnogie ogłaszania dzieł w Paryżu pod nazwiskiem malowniczych (pittoresques), które w ostatnich leciech, nadzwyczajny ruch nadały sztuce rytowniczéj; niezdołały Godarda, równie skromnego jak i jego ojciec, wywabić z rodzinnego miasta. Wziętość jego atoli, za-

dnéj ztąd nie poniesie szkody, że się nie uwodzi nowością, lecz na ustroniu doskonali swą rzadką zdatność, skłonną bardziéj ku temu co jest w sztuce prawdziwie piękne i szlachetne.

OBYCZAJE I ZWYCZAJE INDOSTANU.

Pogrzeb bonzy w Bengalu.

Trudno zaiste sobie wyobrazić, ile w niektórych częściach Indostanu, pogrzebowe obchody, są dziwaczne i osobliwe. Mianowicie pogrzeby bonzów czyli gilongów, osób wielce poważanych u ludu, z taką się odbywają okazałością, że główniéjszych obrzędów szczegóły, godne są ciekawości naszych czytelników.

Skoro bonza jaki, ostatniégo ducha wyzionie, ciało jego drogiemi namaszcza się pachnidłami: księża zajmują gospodę w jego mieszkaniu, i naprzemiany odprawiają modlitwy. Wysłańcy spieszą natychmiast do przyległych powiatów z wieścią, iż święty mąż, ten świat opuścił. Jeżeli ci się uda wcisnąć do komnaty nieboszczyka, ujrzysz go obleczonego w szatę długą jedwabną, żółtéj barwy, i ze złożonemi na krzyż nogami siedzącego na przepysznem wezgłowiu: korona, o pięciu w górę zwężonych zębach, spoczywa na jego czole. Mężczyźni, niewiasty, pacholęta, rozmaitego stanu, powiększéj części z odległych stron na obrzęd przychodnie, krążą wokoło domu, dla oddania hołdu i czci należnéj znakomitemu kapłanowi. Zakonnicy w licznéj gromadzie składają obrady, na których stanowią, iż uroczystość żałobna ku czci nieboszczyka, odbędzie się zgodnie z przepisami wiary.

Owóż dzień uroczysty nadchodzi, ciało jest złożone w skrzyni napełnionéj miodem, i szczelnie zamkniętéj, którą się ustawia na ogromnym wozie. Piérwszy gilong postępuje na czele, a za nim piętnastu innych księży: odzieżą ich jest suknia z bawełnianéj tkaniny, na którą kładą płaszcz z kitajki w pasy. Po nich idą muzycy, narzędzia ich składają się ze sześciu trąb miedzianych około pięciu stóp mających długości. Dwaj ludzie każdą z tych trąb niosą, okrom tego są jeszcze bębny dziwnéj nader postaci: sześciu gilongów, mają w ręku dzwonki, któremi coraz potrząsają: drudzy z wymiarem biją w cymbały: dziwna zaprawdę muzyka! szczególne połączenie dźwięku! dobre niewątpliwie, na odstraszenie, cisnącego się ku orszakowi, tłumu. Z tém wszystkiém gilongowie uzbrojeni w potężne pałki, trzymają tłuszczę w pewnéj odległości, i niekiedy śmielszych, silnemi częstują razy.

Tymczasem, lud mnogi bije czołem o ziemię i odmawia pacierze. Piérwszy gilong pokrapia drogę wodą święconą; drudzy śpiewają, klaszczą w dłonie, i jak opętani wykręcając się, stroją dzikie postawy. Przecież orszak zatrzymuje się na równinie, poświęconéj obrzędom: tu dopiéro młodzież igrzysk chciwa, rozpoczyna ćwiczenia ciała, i mocnemi razami pięści, stara się godnie uczcić pamięć nieboszczyka, jedni się zabawiają pewnym rodzajem gry z laską; drudzy przestają na uganianiu się, na pląsach, lub śpiewaniu z całego gardła. I płci niewieściéj mało na tém, by się jedno miała przyglądać zabawom i sypać oklaski: i ona też kupi się w niewielkie gromady, wrzeszczy ile siły staje, i w dziwnych się wykrzywieniach miece. Na równinie jak oko sięgać może, widzisz niepojętą mieszaninę głów, których poruszenia już wolniéjsze, już żywsze, bawią cię osobliwszém w swym rodzaju widowiskiem.

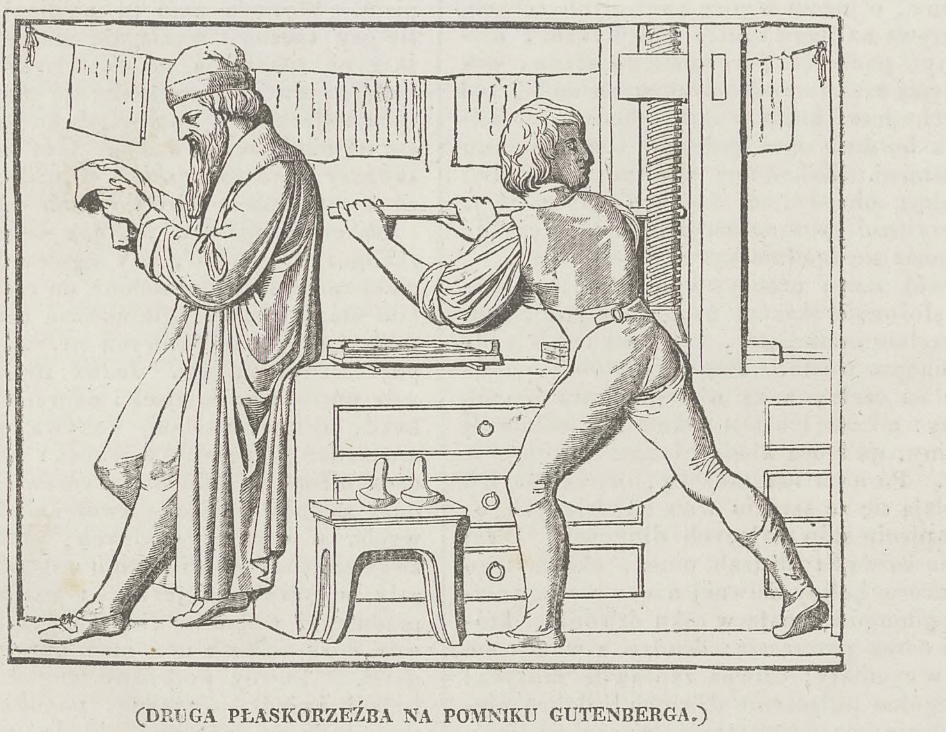
Poczęte od zarania, i odbywające się pod otwartém niebem, igrzyska dziwnie podniecają łaknienie: owóż zgiełk się uśmierza, tłuszcza zasiada i sutém posila się śniadaniem. Wypada nam tu namienić, że nim się gry zaczną, wyciągają nieboszczyka ze skrzyni, ustawiają go na wierzchu kolasy, nadając mu postawę jakby się przypatrywał zgromadzeniu, i pochwalał korowodom co się na około niego dzieją. Gdy się biesiada skończy, znowu igrzyska wracają, i każdy ze skwapliwością udział w nich bierze.

Nakoniec idzie o to, jak się ma obrzęd zakończyć? wodąli, czy ogniem? będzieli ciało spalone lub wrzucone do rzeki? W takim stanie rzeczy, gilongowie dzielą się na dwie strony, do których przystaje równy poczet zwolenników. Jedna strona usiłuje wóz poruszyć z miejsca i naprzód go pomknąć, druga ostatniéj dobywa mocy, by mu nadać przeciwny kierunek: walka trwa czas niemały. Możnaby sprawiedliwie jednéj stronie dać imię zwolenników ogniowych, a drugiéj wodnych, jeżeli pierwsi zwyciężą, tedy gwoli swemu upodobaniu okazały wyprawują fajerwerk: jeśli zaś drudzy przemogą, wolno im cisnąć do rzeki bonzę, wóz i wszystkie z nim inne obrzędowe dodatki. Pewny podróżny angielski pisze: byłem świadkiem jednéj podobnéj walki: tłum ludu na dwie podzielił się strony, które z dwóch przeciwnych woza boków stanę-

ły, tworząc mnóstwo szeregów jeden za drugim, co składało dwa hufy niezmiernéj długości. Za danym znakiem, lud jął się wysilać: z razu wóz stał nieporuszony, daléj zachwiał się nieznacznie, podał się nieco na prawo, wrócił znowu na swe miejsce; wstecz się posunął, jeszcze się naprzód podtoczył, w końcu już tylko co się nie cofnął, aliści jednym razem obracając się szybko, gnał i rozgramiał zwyciężoną czeredę. W jednéj chwili okrzyk huczny ogłosił zwycięztwo ogniowych. Ci zatém złożyli radę jakim obyczajem nieboszczyk ma bydź spalony? i zdało się im, że najprzyzwoitszą mu cześć wyrządzą, jeśli go puszczą w powietrze. Jakoż tym końcem napełniono wóz prochem, a usunąwszy się w przyzwoitéj odległości, zwycięzcy jęli rzęsiście miatać nań żagwie, które swój skutek rychle sprawiły. Straszne to było wybuchnienie: kolasa na tysiąc się rozleciała części, i błogosławionego męża uniosła w przestrzeń, kędy mu towarzyszyły okrzyki i oklaski całego zgromadzenia.

MOZG LUDZKI.

Ciężar mózgu w dojrzałym mieszkańcu Europy dochodzi od 3 funtów i 2 uncyj, do 4 funtów 6 uncyj; u ludzi jednak odznaczających się szczególniéjszemi zdolnościami, bywa niekiedy większy; np. mózg Cuvier'a ważył 4 funty 11 uncyj 4 i pół drachmy; sławnego chirurga francuzkiego Dupuytren'a miał ciężaru 4 funty 10 uncyj. U ludzi niedołężnego pojęcia, zwykle bywa daleko mniéjszy, i tak u jednego z nich znaleziono tylko funt 1 i uncyj 9, u drugiego zaś 1 funt i 11 uncyj. Ilość jego u niewiast, jak pokazują doświadczenia, zawsze jest szczupléjsza aniżeli u mężczyzn, i zmienia się od 2 fun. 8 unc. do 3 fun. i 11 unc., średnia więc różnica od 4 do 8 uncyj dochodzi, i nawet w dzieciach nowo narodzonych, już wyraźnie postrzegać się daje. Organ ten w roku 7 lub 8 właściwego sobie rozwinienia nabywa. Pewną, chociaż niedostatecznie wyjaśnioną jest rzeczą, że mózg zgrzybiałego starca zmniéjsza się tak w ciężarze jakoteż i w objętości; jakoż widzimy, iż w nader podeszłym wieku, siły umysłowe zwyczajnie w ludziach słabieją.



(DRUGA PŁASKORZEŹBA NA POMNIKU GUTENBERGA.)

w WARSZAWIE, NAKŁADEM I DRUKIEM JANA GLÜCKSBERGA, PRZY ULICY MIODOWEJ Nr. 482.